

## Krzysztof Ćwikliński: Pułaski wyszydzony. O „Bohaterze znającym tylko klęski” Karola Zbyszewskiego

Szkic Zbyszewskiego był żywiołowym atakiem frontalnym, gwałtowną filipiką, okrutną satyrą, która pod względem nasycenia kpina dorównuje „Niemcewiczowi...”, zjadliwym pamfletem, szyderczą napaścią, odarciem z dostojnej legendy, w jaką przystroili Pułaskiego lata – pisze Krzysztof Ćwikliński. Fragmenty tekstu publikujemy w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Pułaski. Republika wolności”.

13 marca 1965 roku zebrało się w Londynie Jury ustanowionej siedem lat wcześniej literackiej Nagrody tygodnika „Wiadomości”, przyznawanej za książkę pisarza polskiego opublikowaną w roku poprzedzającym na emigracji. Wacław Grubiński, prozaik i dramaturg, zgłosił wydany przez Polską Fundację Kulturalną zbiór prozatorski Karola Zbyszewskiego *Wczoraj na wyrywki*. Grubińskiego poparł Józef Mackiewicz, prozaik i publicysta, autor sławnych już wówczas *Kontry* i *Drogi donikąd*.

Głosowano pięciokrotnie. W piątym głosowaniu wymaganą większość uzyskał Zbyszewski. Jak dużą i kto na niego głosował, nie wiemy. Nagrodzony tom z pewnością podzielił jurorów. Trudno przypuszczać, by głosował nań Marian Kukiel, którego Zbyszewski darzył żywiołową i manifestacyjną niechęcią, a którą generał-historyk niewątpliwie odwzajemniał. Obaj pielęgnowali urazę od czasu, gdy laureat niedługo

przed wybuchem wojny wydał swe pierwsze dzieło, głośny pamflet historyczny *Niemcewicz od przodu i tyłu*, który Kukiel, wówczas dyrektor Muzeum Czartoryskich, odsądził od czci i wiary, za co Zbyszewski krytyka nie tylko odsądził, ale i wyśmiał. To, co raziło Kukieła w *Niemcewiczu*, jak można przypuszczać, raziło też w nagrodzonej książce, specjalnie zaś zapewne opublikowany kilka lat wcześniej w „Wiadomościach”, utrzymany w szyderczej poetyce szkic historyczny o Kazimierzu Pułaskim *Bohater znający tylko klęski*. Kalanie świętości było życiową pasją Zbyszewskiego, a – nie ma co kryć – do pokalania oficjalnie spiżowy i nieskalany Pułaski nadawał się prawie idealnie.

[...]

Na drogę literatury wszedł Zbyszewski przypadkiem, w jego zamierzeniu miała to bowiem być droga nauki, droga osobna, obok drogi oficjalnej, akademickiej, a nawet wbrew niej, choć akademickim uwieńczona laurem. Nie pisałby przez siedem lat swej dysertacji o epoce stanisławowskiej, gdyby w to nie wierzył, gdyby tego nie chciał. Ale to, co zrobił, nie mieściło się w głowach ówczesnych uczonych. Nie zmieściłoby się i w głowach współczesnych. Doktorat, który w niczym nie przypominał doktoratu, „szargający świętości, pisany z młodzieńczą bezczelną dezynwolturą”, odrzucono. Poszło o całokształt: metodę, założenia, dowody, wnioski, formę i język. Przede wszystkim o język. Odrzucona rozprawa, opatrzona tytułem *Niemcewicz od przodu i tyłu* i dedykacją „Młodym historykom nieprzyjętą tę pracę doktorską poświęcam”, ukazała się rychło i stała się jedną z najpoczytniejszych książek Dwudziestolecia. Pierwszy nakład wyczerpał się po dwóch miesiącach. Książkę natychmiast wznowiono i natychmiast też uznano za szkodliwą. Nawet liberalny Słonimski porównał ją do obrzydliwości

wypisywanych obsesyjnie na ścianie publicznego szaletu, a czcigodne autorytety literackie i naukowe wspominały o konfiskacie. Faktem jest, poza jednym Adolfem Nowaczyńskim, który się zresztą *Niemcewiczem* zachwycił i wróżył autorowi „wielką, dickensowską przyszłość”, nikt dotąd tak o rodzinnej historii i jej bohaterach nie pisał.

[...]

Na emigracji nikt z badaczy czy pisarzy specjalnie się Pułaskim nie interesował. Dwa wyjątki od reguły to opublikowane w niewielkim zbiorze przez Franciszka Jana Pułaskiego, historyka i dyplomata, długoletniego dyrektora Biblioteki w Paryżu, praprawnuka Antoniego, młodszego brata Kazimierza, najpierw konfederata barskiego, potem pruskiego i rosyjskiego jurgieltnika i targowiczanina, listy do Claude'a de Rulhière oraz szkic Zbyszewskiego. O ile pierwsza publikacja była skromnym przyczynkiem historycznym mieszczącym na czterdziestu stronach dwadzieścia osiem listów, o tyle druga żywiołowym atakiem frontalnym, gwałtowną filipiką, okrutną satyrą, która pod względem nasycenia kpina dorównuje Niemcewiczowi, zjadliwym pamfletem, szyderczą napaścią, odarciem z dostojnej legendy, w jaką przystroili Pułaskiego lata, przypadki i w zbożnym dziele na przekór faktom połączone dobre chęci.

[...]

To, co najgorsze, co miało konfederację ostatecznie pogrążyć, a Pułaskiego skompromitować, miało dopiero nadejść. Na Śląsku, w Cieszynie, gdzie schronił się po skaryszewskiej klęsce, odebrał Pułaski

wiadomość o zamachu na Stanisława Augusta, którego niewiele wcześniej konfederaci jako intruza i uzurpatora byli dwukrotnie zdetronizowali, nie mogli się tylko zdecydować, kogo obrać królem: Karola Krystiana saskiego czy landgrafa heskiego Fryderyka II? Ci z kolei byli zainteresowani tronem opróżnionym, nie zajęтым, i nic im było po konfederackich uniwersałach; domagali się faktów, więc fakt taki należało jak najszybciej stworzyć. Samą wiadomością o porwaniu króla Pułaski nie był zapewne zaskoczony. Zaskoczyło go to, że zakończyło się ono niepowodzeniem i – co więcej - wywołało wielki, a niekoniecznie konfederacji potrzebny, przy tym umiejętnie podsycany przez dwór warszawski, rozgłos w całej Europie, zaś w kraju radykalną odmianę stosunku ogółu społeczeństwa do monarchy. Jeszcze bardziej, że przedstawiono ją jako nie próbę porwania, lecz próbę królobójstwa. A najbardziej, że główną odpowiedzialnością za tę zbrodnię, nad którą w oczach ówczesnej opinii publicznej większej nie było, obciążono właśnie jego. Generalność konfederacka, która do tego czynu zachęcała, a w ogłoszonym rok wcześniej akcie bezkrólewia wprost wzywała do zmycia hańby we krwi tyrana i uzurpatora, teraz szybko odzegnała się od jakichkolwiek z porwaniem związków. Tak, jak o wojowaniu miał Pułaski pojęcie nikłe, tak o polityce jeszcze mniejsze. O ile na polu bitwy był przynajmniej dzielny jak lew, o tyle na polu polityki był naiwny niczym małe dziecko.

Mając tylko guza na czole, ale robiąc miny umierającego, Ciołek podniósł wrzawę na całą Europę, że chciano go zabić, że barzanie to zbrodniarze-królobójcy. I jako sprężynę zamachu wskazał – Pułaskiego.

To jedno było prawdą. Przez długie miesiące Pułaski gościł w Częstochowie Strawińskiego. Dał mu ludzi na porywkę, dał mu pieniądze, znał cały plan, rozstawił wojsko dla eskortowania pojmanego króla. Lecz podłym łgarstwem było, że chciał króla zgładzić. Chciał go tylko mieć jako więźnia w Częstochowie, by tam wymusić abdykację. [...]

Pułaski porwał się do obrony swego honoru. Pisał listy do dworów zagranicznych, ogłaszał manifesty. Naprzód zarzekał się, że o niczym nie wiedział. Potem przyznawał, że wiedział, ale nie kierował zamachem. Wreszcie przysięgał, że choć kierował, to bez intencji morderstwa.

Nic nie pomogło. Był napiętnowany jako królobójca.

Jakkolwiek sprawa porwania króla była już wtedy, i jest do dziś, co najmniej niejasna, była jednak potężnym i celnie wymierzonym ciosem, po którym konfederacja miała się już nie podnieść. Przy tym skazany zaocznie na śmierć Pułaski stracił nie tylko cały majątek, ale i resztkę ocalałego prestiżu. Wskutek jego poronionych pomysłów operacyjnych padł Kraków, wskutek odmowy przyjścia z pomocą Zarembie, ten przegrał pod Piotrkowem i skapitulował. Nie było już żadnej nadziei, ale

Pułaski rzucał się jeszcze jak ryba w sieci. Ogłaszał się naczelnym komendantem, wzywał do boju, rabował jakieś Bogu ducha winne miasteczka.

Wreszcie zrozumiał, że przegrywanie kolejnych bitew było niczym wobec ostatecznej klęski, z której wychodził nie tylko definitywnie pokonany, ale i napiętnowany. Zdał dowództwo i opuścił Polskę, którą właśnie rozszarpały państwa ościenne.

[...]

Śmierć Pułaskiego wywołała, poza naturalnymi w takim przypadku smutkiem i żałobą, istną powódź uchwał i rezolucji. Czčili i obiecywali czcić go jeszcze bardziej w przyszłości bez mała wszyscy. Widać lepszy wydawał się współczesnym jako martwy obiekt kultu, niż żywy kłopot. Zadeklarowano wzniesć mu pomnik. Zadeklarowano i zapomniano. Tak o pomniku, jak i tym, który miał na nim stanąć. Na z górą sto lat. Po stu latach nastąpił renesans, symboliczne zmartwychwstanie w wielkim stylu, głośne, by nie rzec - huczne. Jak do niego doszło? Zdaniem Zbyszewskiego było tak:

W Polsce, po 30 latach, znakomita historia upadku Rzeczypospolitej, [napisana] przez Rulhière'a, tego historyka francuskiego, co to przyczynił się do śmierci i do nieśmiertelności Pułaskiego przez zaprotegowanie go u Franklina, wskrzesiła na chwilę zainteresowanie barskim niezłomnym. Lecz to nie księgi historyczne narzucają narodom sławionych bohaterów, ale przeciwnie – to masy analfabetów opromieniają jakąś postać legendą i narzucają ją dziełom historyków. Więc cicho było nadal o Pułaskim.

Aż dopiero, w przeszło sto lat po Savannah, gdy emigracja polska w Stanach rosła i pęczniała – uczuła ona potrzebę swego, własnego, polsko-amerykańskiego herosa. Kościuszko był zbyt związany ze Starym Krajem, jego rola w Polsce zaćmiewała zupełnie jego działalność w Ameryce. Tedy emigracja wydobyła z pyłu zapomnienia Pułaskiego. I uczyniła go swą sztandarową chlubą, swym patronem, swym ukochanym bohaterem. Emigracja narzuciła go całej Ameryce, upstrzyła miasta ulicami jego imienia, - jego popiersiami, wtłoczyła go do podręczników.

Rykoszetem sława Pułaskiego zaczęła rosnać i w Polsce. Do panteonu bohaterów narodowych emigracja wprowadziła i Pułaskiego.

Prawda to z pewnością, ale nie cała. Było coś jeszcze, a może coś przede wszystkim. Tym czymś była śmierć. Bohaterska, spektakularna, romantyczna, niepotrzebna, bezsensowna. To ona ukształtowała zbiorową wyobraźnię i zapewniła Kazimierzowi Pułaskiemu nieśmiertelność. Gdyby był, jak Zaremba, dowódca nieporównanie wybitniejszy, umarł we własnej wannie, nie byłby patronem miast, ulic, szos, placów, szkół, uczelni, jednostek wojskowych, mostów, statków i okrętów, nie byłby honorowym obywatelem, nie stałby na dziesiątkach cokołów, nie miałby swego muzeum. Pamiętaliby o nim może tylko historycy i oceniali wedle naukowych, nie emocjonalnych kryteriów. Jesteśmy narodem wysoko ceniącym śmierć i głupstwo, a wodzów pobitych na równi ze zwycięskimi. By zmienić w tym względzie psychikę Polaków, trzeba by zmienić historię Polski. Można wszakże, inaczej rzuciwszy światło, inną dostrzec zgoła postać, postać rycerza bez skazy, w jego klęskach zobaczyć zwycięstwa, a w nieprzemysłanej

brawurze myśl operacyjną. Tak też bajali o najdzielniejszym z dzielnych romantycy: Mickiewicz, Słowacki, Rzewuski, Kaczkowski, czy bardzo swego czasu poczytny Szczęsny Morawski. To ich gloryfikacjom i apoteozom w znacznej mierze zawdzięcza swą późniejszą sławę Pułaski.

Niewątpliwie to jednak spektakularny, gwałtowny zgon unieśmiertelnił Pułaskiego. A przecież mogło być inaczej. Mógł, gdyby tylko z jego usług zechciano skorzystać, zostać francuskim lub hiszpańskim kondotierem, który nie wolność naszą i waszą miałby wypisaną na sztandarach. Mogło być wszakże jeszcze inaczej. Gdyby nie zamach na króla, który uczynił zeń napiętnowanego banitę, może jak wielu innych emigrantów tego czasu uzyskałby monarsze przebaczenie, powrócił do kraju, na nowo objął swoje starostwo, zaopiekował starą matką, która przez lata zamętu niejedno przeszła, i gospodarzył na resztkach dawnej, ojcowskiej fortuny, posłując na sejmiki, a może i sejmy, może nie stanąłby w obronie Konstytucji, tylko wraz z bratem podpisał akt targowicki, może dożyłby lat sędziwych i umarł w Królestwie Kongresowym, albo i później jeszcze, w dostatku, otoczony sąsiedzkim tylko szacunkiem i krótką pamięcią współczesnych. Nigdy być może nie usłyszelibyśmy o nim, gdyby nie pewien kapitalny błąd popełniony jednej z listopadowych nocy, jeden z wielu w jego krótkim życiu.

*Krzysztof Ćwikliński*

Tekst zaprezentowany powyżej jest znacznie skróconą wersją artykułu prof. Krzysztofa Ćwiklińskiego. Publikujemy za życzliwą zgodą autora. Wybór prezentowanych fragmentów oraz wszystkie skrócenia (w tym

obejmujące obszerne przypisy dokumentujące cytaty i tezy tekstu)  
pochodzą od redakcji Teologii Politycznej co Tydzień.